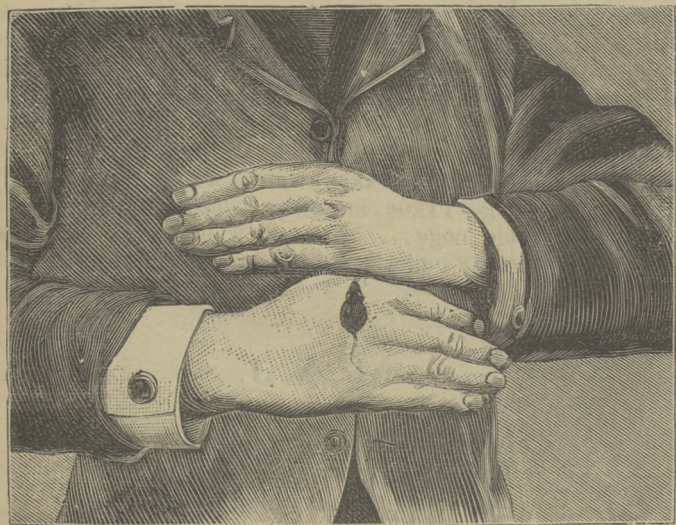




TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



ZABAWKA MAGICZNA.

Czy widzicie tę myszkę, która spaceruje po rękach swego właściciela? Spaceruje ona, a jednak zrobiono ją prosto z kawałka okopconego korka. Chcemy wytłomaczyć wam, skąd pochodzi ten pozór życia w sztucznej myszce. Otóż od spodu pod pyszczkiem, opatrzone myszkę haczykiem mocno zagiętym, do którego przyczepić należy cieniutką, blade różową nitkę długości dwudziestu pięciu centymetrów; drugi koniec nitki właściciel myszki przyczepia do guzika u surduta, poczem kładzie zawieszoną myszkę na ręce i pokazuje swoją sztukę. Gdy ręką oddala ją od siebie, zwierzątko zdaje się biec po nią, a figlarz mówi do obecnych: „patrzcie, jaka to niezmordowana myszka, wciąż to po jednej, to po drugiej ręce biega i ani na chwilę nie zboczy z drogi”.

Ale wy, czytelnicy, gdybyście zobaczyli podobnego sztuk-

mistrza, potraficie go naśladować. Moglibyście także położyć przyczepioną myszkę na stole i cofając się trochę zawołać: „Myszko naprzód”, a zwierzątko pociągnięte niewidoczną nitką, natychmiast usłuchałoby rozkazu, wrabiając w zdumienie nieświadomych figla.

A. M.

KRÓLOWA SZWEDZKA.

Opowiadanie **Teresy Jadwigi.**

(Dalszy ciąg).

— Ostatnie — odparła stanowczym głosem Katarzyna.

— A zatein oznajmiam wam obojgu, że dziś jeszcze zostaniecie przewiezieni do Gripsholmu — rzekł Karol — tam mieszkać teraz będziecie.

Jan i Katarzyna w milczeniu wysłuchali wyroku. Gripsholm, była to dawna rezydencja królów szwedzkich, zamek wznoszący się na jednej z wysp jeziora Melar; służył on już niejednemu za więzienie, wiedzieli o tem — wiedzieli i to, że niejednemu tam śmierć znalazł, lecz spokojnie przyjęli wyrok, bo myśl, iż razem pozwolono im zostać, dodawała otuchy obojgu. Dorotka była tylko zgnębiona: lękała się, że nie pozwolą jej jechać z nimi, lecz księżna pocieszała ją, że znowu niepostrzeżona przez strażę dostanie się do nowego więzienia.

I tego jeszcze dnia przewieziono Jana i Katarzynę ze Stokholmu do Gripsholmu. Obawy Dorotki były słuszne: nie pozwolono jej wsiąść na okręt, który miał zawieść jej panią na miejsce wyroku. Straż śledziła ją uważnie, a gdy Katarzyna i Jan odjechali, Eryk kazał karlicę do królów zaprowadzić i pod jej opiekę ją oddał. Dorotka zaliczoną została do służby królewskiej; żona Eryka ją polubiła i bardzo dobrą była dla niej, mimo to Dorota wciąż była smutną, wciąż tęskniła za księżną i martwiła się jej dołą, lecz jakże martwić się nie miała? Takie okropne rzeczy opowiadano o wywiezionych do Gripsholmu: że pomieszczono ich w małej ciemnej izdebce; że słudzy Eryka zabrali im wszystkie klejnoty, pie-

niądze, suknie i bieliznę nawet; że to tylko mają co na sobie, że ich głodzą i dręczą różnemi sposoby, karmią śledziami i pić nie pozwalają wcale — i wiele tym podobnych rzeczy mówiono o nich. Nie dziw przeto, iż Dorotka po całych nocach płakała, że po całych dniach o nich myślała. Kilka razy chciała prosić królowej, aby wstawiła się za nią do króla i wyjednała jej pozwolenie jechania do Gripsholmu, lecz zawsze zbrakło jej odwagi. Słyszała jaki los spotkał jej towarzyszek, za to że z miłością o księżnie się odzywały: jedne kazał Eryk do klasztoru poddawać, inne do więzienia zamknąć, kilku zaś z dworzan księcia Jana na śmierć skazanych zostało. Wolała tęsknić, niż los podobny na siebie ściągnąć; teraz miała jeszcze nadzieję, że ujrzy kiedyś swą panią, że się coś zmieni, coś stanie i Eryk pozwoli, aby jechała do Gripsholmu — agdyby wtęciono ją do więzienia, możeby w nim z głodu umarła.

Więc płakała cicho po nocach, w dzień tęskniła cicho i nikomu nie mówiła o tem, co w sercu jej się dzieje; lecz nie mogąc zasnąć, nieraz w nocy siadała na pościeli i wolała:

— Muszę, muszę ją odwiedzić, przebiję mury, podkopię się pod nie, lecz dostanę się do niej, lecz zobaczę ją...!

IV.

Na dwóch wysepkach jeziora Melar, w pobliżu Sztokholmu, wznosi się zamek królów szwedzkich, letnia ich rezydencja, Gripsholm zwana. Gdy wiosna rozwinie liście drzew w otaczającym zamek parku i przyległym zwierzyńcu, wówczas pięknie tam, rozkosznie, wesoło; wówczas nie tylko ptaki Gripsholmskie się radują, ale i ludzie — wówczas wszyscy mieszkańcy tych wysepek z uśmiechem na słońce, drzewa i kwiaty patrzą: ptaki świągocą głośno, a ludzie śpiewają wesołe pieśni. Tak też tam było, gdy roku 1571 wiosna zawitała do Szwecji i świeżą zieloności szatą wyspy jeziora Melar ustroiła: radowali się ludzie, radowało się wszystko stworzenie, bo komuż słońce i wiosna miłemi nie są...?

Lecz kiedyż to słońce wszystkim jednako przyświeca, kiedyż to wszyscy są jednakowo szczęśliwi? I w Gripsholm owej wiosny, którą rok 1571 zwiastował, ci smutni byli, tamci weseli... W jednej z najmniejszych izdebek zamku królewskiego, znajdując się w wysokiej baszcie, smutno, bo słońce przez wąskie okienko z trudnością się do niej dostaje, a ściany jej od czasu jak zamek ten istnieje, nie były chyba bielone; pył kilkoletni na nich siedzi a w posępnej tej izbie mieszkają jednak ludzie. Na nędznym tapczanie, na którym garść słomy zmięta, nie bardzo wygodne stanowi posłanie, siedzi mężczyzna bladej, wychudły, w nędznym, podartym ubraniu. Na twarzy jego głęboki smutek wypisany; głowę oparł na dłoń i zamyślonym wzrokiem patrzy przed siebie, a tam na przeciw niego pod drugą ścianą, drugi stoi tapczan, przy nim zaś klęczy postać niewieścia równie blada i smutna, równie nędźnie ubrana. Niewiasta cała jest pochylona nad tapczaniem, na którym otulone grubą płachtą leży małe dziecko, chłopię pięcioletnie. Musi być ono chore, bo twarzyczka jego płonie, oddech nierówny, oczy nawpół przymknięte; to jęknie boleśnie, to coś szepce prędko do siebie, w gorączce jest widocznie, bo szarpie płachtę na sobie, odrzuca ją z piersi, ale ta co klęczy przy nim, napowrót go przykrywa; łyż* świecą w jej oczach.

— Zygmsiu — pyta — czy bardzo cię główka boli?

— Boli — szepce dziecko.

— Może pić chcesz?

— Chcę — odpowiada mały.

Ona pochyla się ku ziemi, stoi tam dzban gliniany, podnosi go do ust dziecięcia, chłopię pije chciwie, potem na słomę opada i znowu to mówi do siebie, to jęczy, lub skarży się.

Nareszcie kobieta powstała i splotła ręce na piersiach.

— Czy i to umrze? — rzekła z rozpaczą w głosie — Panie! Panie! czyż litości nie będziesz miał nad nami?

— Przeklęty Eryk, gdyby nie straża co drzwi tych strzegą, dawnoby on nie żył! — wybuchnął naraz milczący do-

tychczas mężczyzna. Przysięgam iż nigdy dawniej na życie jego spisków nie knułem, nigdy śmierci jego nie pragnąłem, lecz odkąd ciebie Katarzyno więzi i dręczy, odkąd pozwala by dzieci nasze marły z braku lekarstw i zdrowego pożywienia, odtąd zdaje mi się, że gdybym go ujrzał, rzuciłbym się na niego i zdusił go.

— Janie, nie bluźnij Bogu. Bóg jeszcze się na nas rozniewa, odwróci się od nas i nie odmieni złego — rzekła kobieta i zbliżywszy się do mówiącego, położyła dłoń na jego ramieniu. — Niebaczniemi słowami wywołałam ten gniew w tobie, tę burzę straszną — mówiła dalej — uspokój się najmilszy, miejmy nadzieję że Bóg ulituje się nad nami; nie gniewajmy Go szemraniem i brakiem cierpliwości.

Jan, a raczej brat króla Szwecji, on to był bowiem tym bladym mężczyzną, siadł napowrót na tapczanie, twarz ukrył w dłoniach i głucha cisza zaległa izbę. Katarzyna wróciła do synka, który tutaj w zamku gripsholmskim się im urodził i znowu nad nim czuwała.

Minęło parę godzin takiej ciszy, przerywanej tylko jękiem, lub urywanemi słowy chorego chłopca; słońce dobiegało kresu południa, gdy w drzwiach izdebki zgrzytnął klucz, rozwarły się one i wszedł do niej wolnym, ciężkim krokiem dozorca więzienny. Przyniósł on obiad zamkniętym w tej izdebce; wszedł, postawił misę na stole stojącym pod oknem i wbrew zwyczajowi nie odszedł zaraz, lecz zatrzymawszy się w pośrodku izby, spoglądał to na księcia Jana, to na jego żonę. Widocznem było iż chce im coś powiedzieć, ale nie wie jak zacząć — nareszcie zdecydował się, potarł ręką głowę i rzekł:

Od dni kilku jakaś dziewczyna włóczy się po wyspie i doprasza koniecznie, bym ją do was wpuścił; odganiam ją, boć wiadomo że król nikomu z wami mówić nie pozwala, lecz uparte to, jak muł, nie odchodzi, w dzień siedzi na progu sieni, w nocy śpi w tutejszym parku, ani myśli wracać skąd przysła. Jużem ją miał dziś stanowczo wypędzić, lecz zaszedł wypadek który rozchwiał moje postanowienie... Mam siedmioletniego chłopaka: zbytnik, urwis, wdziera się na wszystkie drzewa w parku i gniazd ptasich szuka. Dziś rano słyszę krzyk przeraźliwy: poznaję głos mego jedynaka, pędzę i cóż widzę! Oto mój chłopak leży z nogą skrwawioną, a przy nim owa dziewczyna pociesza go i ranę mu owija; chłopak spadł z drzewa i skaleczył sobie nogę... Na ten widok serce mi zmiękło, więc gdy ujrzawszy mnie, podniosła wzrok smutny i rzekła.

(d. c. n.)

M A J.

Gdzie wzrok zwrócić, dookoła
Istny z kwiatów raj:
Już w zieleni wszystkie siola,
Już na dworze maj.

Ledwo słońce się wychyli
Ponad dachy chat,
Wnet wybiega rój motyli,
Róż otoczyć kwiat.

Ten zaś, rosą orzeźwiony,
Zwraca kielich doń;
Cichy wietrzyk na wsze strony
Miłą niesie woń.

Kiedy strumyk bieży z góry,
Pośród wonnych bzów,
Głosi słowik szaro-pióry
Jakąś pieśń bez słów.

Przed obrazem Matki Boskiej
Istny z kwiatów gaj:
Już w zieleni wszystkie wioski,
Już na dworze maj!

Alf. Łaszcz.

Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska

(c. d.)

rzęj bracia klęczeli razem u stopni ołtarza, a gdy przebrzmiał głos kapłana i organy ucichły, powstałi razem i serdecznym dłonię połączyli uściskiem. Było to jakby milczące potwierdzenie przymierza, zawartego na powierzchni ziemi i wzmocnienie węzłów braterskiej miłości.

Potem królewicz Kryształek zaprowadził nas do swego skarbcza. Wiedziałem ja już o tym skarbcu i wiedzę pewnie o nim czytelnicy Wieczorów rodzinnych, z opowiadania o *Niezgodnych królewiczach*.

Ujrawszy go teraz, przekona-

łem się że opis był bardzo wierny. Wspaniała grota, rzęśisto oświetlona lampami elektrycznymi, miała podłogę grubo wysypaną piaskiem złotym; całe bryły rodzimego złota i srebra, poukładane jedno na drugich, piętrzyły się wysoko w kształcie piramid. Słupy z górnego kryształu przezroczystego jak lza, stały długimi szeregami tworząc przepyszne galerie i korytarze. Wszystkie lśniły, błyszczały, migotały przy świetle, mieniło się tęczowymi barwami i trzeba było co chwila oczy przysłaniać, żeby nie oślepnąć. Królewicz kazał pootwierać skrzynie pełne drogich kamieni i klejnotów, i mówiąc że klejnoty elektryczne któremi gości swych przy stole obdarzył, były tylko figlami, ku ich zabawieniu wymyślonym, żadnej rzeczywistej nie mającym wartości, prosił aby teraz każdy wybrał sobie na pamiątkę coś, coby mu się najwięcej podobało.

— Ciekawym co też wybierze Abrakadabrus — odezwał się do stojącego obok mnie Azbesta.

— Mistrz! alboż myślisz że on dba o takie rzeczy? On ceni tylko klejnoty serca i umysłu; a choć na królewskim dworze mieszka i królewskie odbiera honory, potrzeby ma bardzo proste i potrafi się obejść bez wszystkiego. W jego oczach dyament ma tylko wartość naukową, jako skryształizowany węgiel; rubiny, szafiry, topazy, wartość skryształizowanej gliny. Kryształ górny w jego oczach, nie jest wart więcej niż zwyczajny piasek z którego powstał, drogą kryształizacji także, a bursztyn nie więcej od żywicy.

— Gdy myślę — odrzekłem — nad sposobami, jakimi prosta glina i inne minerały mogły się w ziemi na drogie klejnoty przetworzyć, to mi się mąci w głowie. Ludzie dla zadowolenia własnej fantazyj wymyślają bajki przeróżne, w których siła czarów zamienia proste przedmioty na dyamenty lub złoto; ci ludzie zapominają, że Bóg, wielki czarodziej, ciągle i bezustannie czyni to co ludzie biorą za cuda, bo nie mogą przeniknąć mądrego i niezłomnego prawa Bożego, które rządzi wszystkim co istnieje. Wiem, że uczeni domyślają się iż materyał z którego drogic kamienie są złożone, rozpuszczony był wprzód w jakiejś cieczy, i że krzepnąc powoli układał się w regularne kryształki, jak to bywa naprzykład z gwiazdeczkami śniegu, ale powiedz mi Azbeście, jak powstały bryły złota i srebra?

— Czyli jednym słowem, ciekawy jesteś jakim sposobem znalazły się w skałach kruszce? Głównym działaczem w tej sprawie była woda.

— Woda? Może więc złoto i srebro z wody powstać! Ależ takim sposobem, wszyscy nędzarze staliby się odrazu bogaczami, bo wody na ziemi jest dostatek!

— Z wody nie, ale woda, widzisz, pozostała w skałach,

dostawała się między pokłady ziemne bardzo głęboko, gdzie rozgrzewszy się, wydobywała się napowrót przez szczeliny na wierzch i osadzała tam cząsteczki soli metalicznych, które z biegiem czasu rozłożywszy się, dały początek żyłom kruszczowym; woda więc pomaga do wyprowadzenia metali z głębi ziemi na jej powierzchnię, rozpuszcza cząstki mineralne i osadza je w szczelinach. To są żyły kruszczowe, z których ludzie wydobywają czysty metal. Nawet sama woda umie tego dokonać, jak tego dowodzą znajduwane tu i owdzie, a nieraz w łóżykach rzek bryłki czystego złota.

Gdyśmy tak rozmawiali, goście wybierali sobie klejnoty, które z taką uprzejmością ofiarował im gospodarz, a na twarzach ich widziałem zachwyt, uwielbienie i podziw dla niezmiernych skarbów Kryształka, który stojąc na środku skarbcza, z dumą radosną spoglądał na obecnych, choć chwilami zamyślał się czegoś i lekkie westchnienie podnosiło mu piersi. Przyszło mi do głowy, że może to westchnienie odnosiło się do sztucznego dyamentu Parsonsa, o którym Abrakadabrus w najpierwszym swoim liście pisał do Szanownej Redakcji Wieczorów Rodzinnych, że królewicz Kryształek tak bardzo posiadać go pragnął, a nie posiadał dotąd, pomimo starań jakie czynił w tym celu.

— A ty Janku, czemu nic sobie nie wziąłeś? — zagadnął mnie Kryształek.

Schyliłem się do skrzyni z klejnotami i wybrałem mały, skromny pierścionek z turkusową niezapominajką, bo rozumiałem że dla pamiątki tylko należało korzystać z zaproszenia, ale nie dla z bogacenia się.

Królewicz popatrzył na mój wybór z dobronliwym uśmiechem.

— Ponieważ lubisz niezapominajki Janku — rzekł życzliwie — i widocznie nie przywiązujesz wagi do kosztowności, zatrzymaj więc ten pierścionek, ale pozwolisz, że ci coś jeszcze do niego dołożę. Pragnę żebyś miał jakąś większą pamiątkę odemnie; dam ci więc żelazną siatkę na konia, która go chronić będzie od owadów.

Żelazną siatkę... dziwny dar! Ależ to będzie zbyt ciężkie dla mego ukochanego Farysa — myślałem sobie — przestałem się jednak tego obawiać, gdy na skinienie Kryształka, podskarbi podał ową siatkę. Była ona z gęstego druciku, tak delikatnego i cienkiego, że wyglądała jakby z jedwabnej sporządzona gazy, a materyał ów skromny na pozór, bo żelazny, ozdobiony był tu i owdzie brylantami wielkości grochu polnego. Zostałem wspaniale obdarzony, wspaniałej niż ci co w wyborze klejnotów nie krępowali się takimi jak ja względami.

Wtem usłyszeliśmy jakby stukanie kijem w podłogę i niezwykła postać pojawiła się wśród tego strojnego, świetnego tłumu. Zgarbiona, okryta płaszczem czarnym niegdyś, a teraz wytartym, łatanym i dziwacznie pokrytym ozdobami, postać ta niewieścia, mogła mieć co najmniej sto lat z górą. Twarz jej pomarszczona, wychudła i żółta jak pargamin, tak była pofałdowana, że wyglądała jakby siatką pokryta. Wystająca broda i nos zakrzywiony, przypominały drapieżnego ptaka; białe kosmyki włosów opadały jej na czoło i oczy, z dziwną spoglądającą bystrością.

— Kto jest ta stara kobieta? — zapytałem Azbesta, doznawszy niemiłego wrażenia na jej widok.

— To Syenita, prorokini naszej wyspy — odpowiedział. — Okrutnie musi być stara, bo najstarsi ludzie pamiętają ją zawsze taką jak jest teraz i mówią, że nie zmieniła się ani na jotę. Powiadają że jest ona niespełna rozumu, ale mówi nieraz takie rzeczy, które najmądrszym dają do myślenia. A gdy komu co wywróży, to mu się najczęściej spełni.

— Ale jak ona się tu dostała?

— O, zna ona każdy zakątek wyspy lepiej, niż którykolwiek z jej władców, a w grotach jest jak u siebie i wiadome jej są takie przejścia podziemne, o których Kryształek nawet nie wie.

— Ale że to ją służba aż tutaj dopuściła!

— Jej na Atlantcie wszystko wolno. Królewicze szanują jej wiek, pozwalają chodzić wszędzie swobodnie i mówić co

ję się podoba, choć zdarza im się nieraz posłyszeć z ję ust gorzką prawdę.

Tu obejrzał się czy go kto nie słyszy i mówił dalej przyciszonym głosem:

— Gdy jeszcze trwała nieszczęsna niezgoda braci, Syenita wyrzucała ją królewicom w oczy publicznie, wołając wobec ludu: „Pogodźcie się, albowiem gniew Boży spadnie na was i Atlanta, jak niegdyś Niniwa, zostanie zburzoną”. Tak wołała w Marmurów górze, w Koralowym grodzie, w Różanym gaju, choć nikt z najwyżej nawet położonych na tych dworach osób, nie śmiał uczynić królewicom najmniejszej uwagi, obawiając się następstw ich gniewu dla siebie.

— Dzielna niewiasta!

— To też ma ona ten przywilej, że wszystko mówić ję wolno. Chodzi po całej wyspie, a chociaż ludzie ję się boją, jednakże wszędzie gdziekolwiek przyjdzie, gościnnie ją przyjmują, u ogniska i u stołu sadzają. Ona o dawnych opowiadając czasach, o sławnym rodzie Bożydarów, który od wieków na tej wyspie panował; czasem się z dziećmi pobawi, czasem znów milczy jak zaklęta i odpocząwszy idzie dalej. Odwiedza też dwory królewiczów i bez ceremonii przy ich stole zasiada.

— Dziwna postać — myślałem przyglądając się ję ciekawie.

Syenita stojąc na środku skarbcza, przysłańiała prawą ręką oczy, jakby zbytciem światła olśniona i przykry uśmiech twarzy ję wykrzywił.

— Bawicie się! — przemówiła ostrym, szyderskim głosem — macie tu dużo świecących zabawek. Caca dziateczki, caca!

— Matko Syenito! — zawołał przyjaźnie Kryształek — chodź! nadstaw róg twego płaszcza. Dam ci tyle dyamentów, że ci wystarczą na całe sto lat wygodnego i spokojnego życia.

I zanurzwszy rękę w skrzyni, zaczerpnął całą garść drogich kamieni.

— A mnie co po tem! — odrzekła wzruszając pogardliwie ramionami — twoje bogactwa nie oślepiają mnie. Widziałem dziś łzy nieszczęśliwego człowieka, i wiem że wszystkie twoje skarby nie potrafią ich obetrzeć. Cóż one tedy są warte? Na co się zdały!

I popatrzywszy przenikliwie na królewicza, rzekła.

— Mam ja synku dyamenty, o jakich ci się nawet nie marzyło. Patrz!

I wyjąwszy z kieszeni woreczek, zaczęła drżącą ręką rozplątywać węzeł rzemienny którym był związany; wydobyła zeń coś błyszczącego i podała królewiczowi.

Kryształek wziął w rękę, spojrział i zmienił się na twarzy.

— Istotnie—szepnął—takich dyamentów niema w moim skarbcu. Zkąd to masz matko?

— Z cmentarza. Znalazłam je na kościach ludzkich, z których już ciała opadły. I wy, co się dziś za temi tu świecidłami ubiegacie, będziecie po śmierci stróili się w takie dyamenty, jak te oto!

I rozśmiała się znowu szydersko. Dreszcz przeszedł wszystkich; widziałem wzdrygnięcie u samego nawet królewicza, który zwracając się do Abrakadabrusa zapytał.

— Mistrzu, czy twój przyjaciel Chemik mówił ci co kiedy o tego rodzaju kryształach?

— I owszem — odrzekł mistrz, oglądając podany sobie przedmiot — pokazywał mi nieraz podobne tabliczki krystaliczne. Utrzymywał on że były złożone z fosforanu wapna i że wytworzenie się tych kryształów, wytłomaczyć sobie trzeba wylugowywaniem tej soli ze szkieletów znajdujących się w wyższych warstwach, a osadzającj się na kościach w warstwach niżej położonych.

Objaśnienie to niemałe sprawiło na obecnych wrażenie. Kryształek wziął troskliwie owe szczególne dyamenty i schował je w oddzielną skrytkę, a ta co go obdarowała, przechadzała się spokojnie wzdłuż skarbcza, stukając kijem, rozglądając się dokoła i przypatrując bystro gościom, którzy jakby instynktownie cofali się przed nią. I ja też uczułem na sobie

ję wzrok badawczy, przenikliwy—i wydało mi się że zatrzymała go na mnie dłużej nieco niż na innych.

— Syenito, wróż nam! — wołał na nią królewicz Zielenko.

— Powiedz co nas czeka w najbliższej przyszłości! — zawtórował Pióropuszek.

— Tak, wróż nam, wróż — dodał Kryształek i wszyscy trzej wyciągnęli ku niej dłonie.

Stara ujęła je w swoje ręce, popatrzyła na nie i rzekła:

— Czekaj was wielka radość. Przybędzie na Atlantę gość sercu waszemu bardzo drogi i blizki i będzie z tego powodu na wyspie wielka uroczystość. Przybędą do was wysłańcy różnych narodów, a każdy przyniesie to co ma najlepszego. Ale największą naukę dla was i dla całego świata, przyniesie naród najnieszczęśliwszy.



Latawiec, czyli ptak rajski.

— Ona mówi o murzynach afrykańskich — szepnął Azbest.

— A co potem będzie?

— Potem — powtórzyła i zaczęła drzeć — potem... widzę jakieś mgły czarne i geste, jakiś ogień... ach! nie pytajcie mnie więcej, nie pytajcie! Ciemno przedemną... Nic nie widzę!

Królewicze spojrzeli po sobie i zadumali się nad znaczeniem proroczych wyrazów, a prorokini puściwszy ich dłonie, chodziła znowu po sali stukając kijem. Gdy przechodziła koło nas, Viola zawołał na nią zcicha.

— Syenito, wróż temu młodzieńcowi, powiedz co go czeka. Jenerałem zostanie, czy królem?

I wskazał na mnie. Stara zatrzymała się, popatrzała i rzekła.

— Znajdzie to czego nie szuka.

— „Znajdę, czego nie szukam”... dziwne proroctwo... dziwne i niezrozumiałe. Ale co ona może wiedzieć o mnie, obcym przybyszku!

Syenita musiała wyczytać te myśli na méj twarzy, bo rzekła jakby odpowiadając na nie.

— I to ci powiem, że nie jesteś tem, czem się być zdajesz i choć masz na sobie szaty pazia, miejsce twoje nie tu pomiędzy dworzanami, ale tam!

I wskazała ręką na grono posłów, stojące na uboczu, poczem odeszła dalej stukając kijem.

— Przeczula w tobie ekscelencyę — rzekł śmiejąc się Viola. — Patrzaj! a ja nie domyśliłbym się nawet tego z twój postaci!

Królewicz Kryształek oznajmił teraz gościom że wyprowadzi ich na powierzchnię ziemi, kazał zamknąć żelazne wrota skarbcza na wszystkie spusty i wiódł nas czas jakiś łożyskiem potoku, który płynął tu pewnie przez długie wieki i przepadł wyżłobiwszy sobie gdzieindziej ujście. Uważałem że stopnio-

Wyjście ze skarbcza prowadziło na dziedziniec wewnętrzny pałacu Kryształka. Zrozumiałem ztąd, że całą górę przeszliśmy pod ziemią, żeby się do niego dostać. Nie będę opisywał szczegółowo, jak wygląda wspaniała budowa nosząca nazwę Marmurowej góry, bo była już o tem w początkowych listach Abrakadabrusa do Redakcyi *Wieczorów* wzmianka — powiem tylko, że tyle tam jest ciekawych a pięknych rzeczy do widzenia, iż sam nie widziałem, na co miałem wprzód pa-trzeć. Posadzki tam były mozajkowe, lub wysłane kobiercem z amiantu przerabianego złotem i srebrem: sprzęty z agatów, porfirów i srebra; u drzwi i okien wisiały zasłony z pięknej delikatnej tkaniny, wyglądającej zupełnie jak srebrna lama, i układającej się w piękne fałdy, o której już wiedziałem



Dolina nad Prądnikiem.

wo wznosiliśmy się coraz bardziej ku górze i czułem już od kwadransa conajmniej, łagodniejszą temperaturę, co było najlepszym dowodem że byliśmy coraz bliżej wyjścia na świat. Nareszcie ujrzelśmy zdale światło niebieskawe, piękniejsze od wszystkich ogni bengalskich i lamp elektrycznych — światło dzienne! Czarodziejskie widowiska mieliśmy pod ziemią, ale nie potrafię opisać potężnego wrażenia jakiego doznałem wyszedłszy na świat. Słońce zachodziło złocąc cały krajobraz i oblekając szczyty gór purpurą, która poniżej przechodziła w fioleto. Ponad nami był czysty błękit, lekkimi tu i owdzie zasnuty obłoczkami, a powietrze tak lekkie i czyste, że doprawdy upić się niem było można. O, jakże to wszystko było piękne! Po kilkogodzinnej przebywaniu pod ziemią, nauczyłem się więc cenić to na co dotąd nie zwracałem uwagi, Cieszyłem się że widzę słońce, drzewa i kwiaty — i dziękowałem Bogu, że pozwolił mi znowu ujrzeć ten piękny świat!

z *Niezgodnych królewiczów*, że jest wyrobem z nici szklanych. Były tam sale czerwone, żółte, szare, czarne, wszystko marmurem tych barw układane i rzeźbione misternie w liście i kwiaty na gzemsach i fryzach. Były prześliczne mozajkowe obrazy, przedstawiające dzieje Atlanty; były słupy z kryształów i drzwi żelazne takiej delikatności, że kilkakrotnie omyliłem się biorąc je za koronkową zasłonę. A co za posągi, jakie rzeźby! Gdy stałem przed nimi w milczącym podziw, Azbest towarzyszący mi, odezwał się:

— Ktoby pomyślał że to jest zrobione z pospolitego wapna, nieprawdaż?

— Jakto z wapna? — spytałem nie rozumiejąc go.

— A tak. Skutkiem działania ciepła, wiele wapieni uległo znacznemu przeobrażeniu, zamieniając się w marmur. Marmur jest krystalicznym wapieniem.

— Przecież i stalaktyty są wapieniem skryształizowanym!

— Tak, ale tam krystalizacja odbyła się inną drogą, bo głównym działaczem była woda; i tutaj nie obyło się wprawdzie bez pomocy wody, ale głównym działaczem było wewnętrzne gorąco ziemi. Dla tego w skałach wapiennych takich jak te z których jest zbudowany pałac podziemny, znajdują się różne skamieniałości, szczątki muszli i innych istot organicznych, a w marmurze nie podobnego niema, chociażby wapien z którego powstały był niemi przepelniony, bo przy tej przemianie ulegają zniszczeniu.

— To na odwrót z marmuru możnaby wapno zrobić?

— A możnaby, tylko ludzie marmuru na to żałują, bo i po co mają go psuć, kiedy dość jest różnych skał wapiennych pospolitych, nie posiadających takiej twardości i połysku.

Dowiedziawszy się od Azbesta, że w dalszym programie zabaw na dzień dzisiejszy jest widowisko galowe w teatrze, a potem bal, i że widowisko rozpocznie się dopiero za godzinę, postanowiłem użyć tej godziny na konną przejażdżkę, bo długie przebywanie w pieczarach dało mi uczuć brak świeżego powietrza; potrzebowałem szerzej niem odetchnąć. Odszukałem więc mego Farysa, za którym też już się stęskniłem i znalazłem go już przystrojonego w nową żelazną siatkę, dar królewicza. Wyglądał wspaniale! Delikatna żelazna gaza nakrótęj lśniły dyamenty, pokrywała jego grzbiet, piersi, nawet nogi, które wyglądały jak w kamaszach. Zachwycony tym nowym jego strojem, w którym wyrażając się po ludzku, było mu bardzo do twarzy, wyjechałem za obręb pałacowego dziedzińca. Azbest mi chciał towarzyszyć, ale podziękowałem mu za jego uprzejmość, bo potrzebowałem być choć trochę sam, dla skupienia rozprzeczonych myśli i odpoczynku, a przy tem nie mając zamiaru jechać daleko, nie mogłem zabłądzić.

Jechałem czas jakiś wybrzeżem morskiem i nieopodal pałacu zobaczyłem przygotowania do wspaniałej budowy. Olbrzymie pnie drzew leżały na ziemi i już dziwić się chciałem, że Kryształek mając do rozporządzenia tyle materiałów trwałszych, drzewa używa—gdy przyjrzawszy się bliżej zobaczyłem że te pnie były skamieniałe. Domyśliłem się zaraz, że tu budują pałac agatowy dla następcy tronu, księcia Szafira, pamiętałem bowiem co kapitan Granit, dowódca okrętu Ametyst, przy spotkaniu się z Narcyzem opowiadał, o lesie skrzemieniałym w Arizona, w Stanach Zjednoczonych—i stanąłem zdumiony obfitością i pięknnością nagromadzonego materiału przyrządzającego oczy barwami, którym słońce zachodzące dawało jeszcze piękności i blasku.

Napatrzywszy się dowoli, jechałem dalej nad morzem rozmyślając jakie, też to dziwne rzeczy dzieją się na świecie: drzewa zamieniają się w kamienie, na ciałach ludzkich znajdują się kryształy—i ni ztąd ni z owąd stanął mi przed oczyma krucyfiks w podziemnej kaplicy, i ogarnęła mnie znowu tęsknota do tego, do którego pragnąłem tak bardzo się zbliżyć i zastanowiłem się nad dziwnym zbiegiem okoliczności, że zawsze coś stawało temu na przeszkodzie. A gdybym też tak teraz zamiast wracać do pałacu, pojechał na moczary... Ale powrócić jużbym tu dziś nie zdołał, bo zmrok zapadał; szukanoby mnie a wreszcie nie powinienem odjeżdżać nie uzyskawszy poprzednio na to pozwolenia. Jestem przecież w służbie! Jechałem tedy dalej między ozdobnymi różnego kształtu budynkami, rozmieszczonemi wśród drzew. Pomiędzy niemi znajdowała się nieduża, cementem wyłożona sadzawka. Miałem ochotę opłukać kamasze mego konika, bo je trochę w bagnie nadbrzeżnem powalał, więc skierowałem go do niej, zwłaszcza że nie mogła być bardzo głęboka, skoro była cementowaną. Farys musiał być bardzo spragniony ochłody, bo skoczył rażno we wodę zanurzając się po same piersi, ale wszedłszy strasznie parskając zaczął, stawać dęba i długa chwila upłynęła zanim go opanowałem; wreszcie dawszy olbrzymiego susa, wyskoczył na brzeg tak gwałtownie, że o mało z niego nie spadłem.

Usłyszałem za sobą, ostry, szyderski śmiech, który raz już słyszałem pod ziemią, głos prorokini Atlanty. Obejrzałem się—tak, to była ona. Nie przyszło mi do głowy gniewać się na nią w tej chwili, za to że się ze mnie śmiała, ale ponieważ powiedziała mi w skarbcu słowa które mnie zastanowiły, zapragnąłem dowiedzieć się od niej czegoś więcej.

— Matko Syenito — rzekłem — ponieważ wiesz o mnie tak wiele, powiedz mi czego serce moje pragnie najgoręcej w tej chwili!

Popatrzyła na mnie w milczeniu.

— Serce twoje młodzieńcze rwie się do drugiego serca — odrzekła — krew szuka swojej krwi.

— A kiedyż ja ujrzę to za czem tęsknię?

— W dniu, w którym będziesz jechał na złotym koniu — odpowiedziała.

Widocznie zmysły pomieszały się biednej staruszce — pomyślałem — i bredzi sama nie wiedząc co, bo choćby mi nawet Kryształek darował konia ulanego ze złota, nie mógłbym na nim jechać. Mimo to paliła mnie chęć zadania jej jeszcze jednego pytania:

— A kiedy znajdę to czego szukam?

— Nim księżyc powtórnie obejdzie swoją zwykłą drogę naokoło ziemi.

Słowa te zamiast wyjaśnić, jeszcze większy chaos domysłów sprawiły w mojej głowie. Chciałem pytać dalej, ale Syenita widocznie nie mając ochoty więcej mi powiedzieć, powędrowała dalej. Spojrzałem na zegarek, godzina już upłynęła od mego wyjazdu za bramę pałacu — czas był wracać, zwłaszcza że już zrobiło się ciemno. Viola czekał na mnie w krążanku i wołał żeby się spieszyć, bo widowisko za chwilę się rozpocznie. Oddałem więc Farysa pacholcowi, a sam pospieszyłem do sali teatralnej, opowiedziawszy po drodze Violi o dziwnem proroctwie, poczem oba śmieliśmy się ze staruszki.

Na scenie przedstawiano dramat wierszem, który nie zupełnie dobrze rozumiałem, bo językiem podniosłym, rzadko używanym w potocznej mowie pisany, obfitował w przenośnie i porównania, zbyt trudne do zrozumienia dla mnie, nie zupełnie wprawnie jeszcze władającego językiem atlantyjskim — ale gra artystów była bardzo staranną. Po teatrze był bal; patrzyłem na niego jak przez sen, bom bardzo już był całodziennymi wrażeniami zmęczony.

A jednak czekało mnie jeszcze jedno wrażenie, nie mniej silne od innych. Królewicz Kryształek chciał nas koniecznie na noc zatrzymać, ale Zielonko uparł się wracać z powodu słabości jakiejś osobliwej rośliny, szczególniejszych potrzebuującej starań. Wracać mieliśmy nie przez góry, które w nocy niebezpieczne są do przebywania, ale wybrzeżem morza, a Kryształek dał nam eskortę ze swoich rycerzy, z elektrycznemi pochodniami. Gdy wsiedliśmy na konie, Viola spojrzała na mnie, a na twarzy jego odbił się wyraz zdumienia graniczący niemal z przerażeniem.

— Janku, ach Janku! — zawołał — prorocтво Syenity spełniło się na tobie. Jedziesz na złotym koniu!

— Tak, tak! koń jest złoty—wykrzyknęli wszyscy świadkowie tej sceny — połowa konia, aż do piersi!

Spojrzałem i ja, i osłupiałem. Prawda, siedziałem na złotym koniu. Czułem żem zbłądł.

I gdy ogólne wszyscy wyrażali zdumienie, królewicz Kryształek, którego natychmiast o tem zawiadomiono, zbliżył się, popatrzył na mnie, i rzekł z uśmiechem.

— Powiedz mi chłopcze gdzie jeździłeś?

— Koło pałacu księcia Szafira, nad morzem i nad sadzawką.

— Czy wchodziłeś we wodę?

— Tak jest! Przy sadzawce siedziała Syenita.

Dodałem ten szczegół umyślnie, bo posadziłem ją w tym razie o czary.

— Otóż mamy rozwiązanie zagadki. Sadzawka ta służy do złozenia różnych metalowych naczyń. Jest to kąpiel galwaniczna, którą dla przykrych wyziewów od dworu swego usunąć kazałem. Bieguny wielkiego stosu elektrycznego zanurzone w odpowiednim płynie, kończą się właśnie koło drogi, więc tam gdzie wskoczył koń Janka metalową okryty siatką. Przy tych biegunach mieszczą się przedmioty do pozłocenia przeznaczone, a metal rozpuszczony w cieczy pod działaniem prądu wydziela się w niedojrzanych cząsteczkach i pokrywa jakby błonką, cieniutką warstewką meta-

liczną, przedmiot z biegunem stosu zetknięty. Koń jego ekscelencyi pana posła nadzwyczajnego Wieczorów rodzinnych, został galwanicznie położony.

Ogólny śmiech towarzyszył tym słowom, a potem luczne oklaski.

Zrozumiałem teraz dziwne zachowanie się Farysa w wodzie sadzawki; rozpuszczone w niej sole mineralne, przez oczka gazy metalowej działały na niego gryząco.

Trudno opisać, jak piękny mieliśmy powrót do Różanego gaju, z ową eskortą odprowadzających nas wojaków. Był to prawdziwy 'korowód gwiazd błyszczących na ciemnym tle nocy. Lampki żarowe rycerzy osadzone były na szczytach hełmów, a każda dawała silne światło. Na przodzie jechał dowódca z wysoką buławą, w której jaśniała także lampa żarowa nadzwyczajnej jasności, zasilana źródłami elektryczności ukrytymi wśród rynsztunku jeźdźca i konia. Pochód zalewał potokami światła nie tylko drogę przed nami, ale rzucał odbłaski nawet daleko na fale morskie, wywołując na ich powierzchni stworzenia w wodzie żyjące — budził ze snu ptactwo śpiące w krzakach, które mniemając że to już dzień, zrywało się z krzykiem i leciało za nami.

Krajowcy, których spotykaliśmy na drodze, stawali zdumieni, a nie przyzwyczajeni smac do podobnego widoku, wyobrażali sobie że znaleźli się w obec zjawiska nadprzyrodzonego — i jedni padali na twarz, a drudzy żegnali się pobożnie.

Czy też ja kiedy myślałem, czy przypuszczać mogłem, że będę jechał w takim orszaku i na złotym koniu! Nie, to do prawdy na bajkę zakrawa!

Gdy dojeżdżaliśmy do Różanego gaju, ujrzałem na falach morskich jakiś cień, jakby kołyszącą się łódkę, a po jakim czasie mogłem nawet rozróżnić kontury znajdujące się w niej człowieka. Z łodzi brzmiał śpiew.

„Wszystkie nasze codzienne sprawy
Przyjm litośnie Boże prawy;
A gdy będziemy zasypiali,
Niech cię nawet sen nasz chwali”.

Ach, ile wspomnień przywiodła mi ta pieśń! Przeniosła mnie ona na skrzydłach wyobraźni daleko... aż do Dębowej Woli. Serce rzucało mi się w piersiach jak ptak chcący rozbić skrzydłami klatkę i wylecieć. Pieśń tymczasem cichła i oddalała się coraz bardziej, a z nią zniknął i wszelki ślad łodzi. Proctwo jedno Syenity spełniło się co do joty, czy też i inne się spełnia? Jutro muszę zobaczyć koniecznie tego człowieka.

Janek sierota.

Latawiec, czyli ptak rajski.

Na rycinie podajemy odmianę rajskiego ptaka pochodzącego z Nowej Gwinei. Wiadomo ogólnie, że najpiękniejszemu barwami obdarzył Stwórca pióra rajskich ptaków. Odmiana, o której teraz mówić chcemy, nosi na sobie tylko trzy barwy: czarną, brązową i zieloną. Cały grzbiet, ogon, skrzydła i olbrzymi kołnier, czarne, w świetle słońca przybierają miękki fioletowy odcień, na piersiach pierzasta tarcza mieni się zieloną i brązową barwą.

Ptaki rajskie należą do wróblowatych; mnóstwo ich ginie z powodu właśnie wspaniałego upierzenia, którem chętnie zdobią suknie i kapelusze nie tylko Europejki, ale Chinki i Japonki. Odmiana przez nas na rycinie podana, należy do najoryginalniejszych, jakkolwiek mniej od innych pociąga kolorami oczy.

A. M.

W dziewiczych lasach Ameryki.

(Dalszy ciąg).

Jedną po drugiej śpiewać je Lucia zaczęła; przyłączył się niebawem do wtóru męski, dźwięczny głos p. Tadeusza

i pieśń zamorskiego narodu echem się niosła po lesie, budząc może ze snu spoczywające gdzieś w ostępie puszczy prawnuki narodu, który niegdyś panem był tej ziemi.

Gdy skończył się zaimprovizowany koncert, Lucia szepnęła coś miss Oliwii, ta zaś dawszy znak przyzwolenia, rozpoczęła z p. Walerym rozmowę bardzo ożywioną. Skorzystała z tego Lucia i porozumiewając się spojrzeniem z Józkiem i p. Tadeuszem, zesza z nimi na niższy taras, gdzie wszystko troje radzić o czemś zaczęli. Po chwili przyłączył się do nich „kuzynek“ — bo tak zwała go Lucia, nie chcąc tytułować go *wujaszkiem* a nie śmiejąc wołać na niego po imieniu — i znowu radzili we czworo, aż wreszcie przebiegłszy przez taras, zniknęli w głębi komnat. Słychać było tylko głos Józka wołającego na całe gardło: „Benito! Juana! Be-ni-to!”

— Jestem, królewicyku — odezwał się z jakiegoś zakątka galeryi głos Benita, któremu po chwili zawtórował senny głos Juany: „Jestem!”

— Panfil! — wołał jeszcze Józio — Panfil! gdzie Panfil? hop-hop!

— Czego ten chłopiec zwołuje tak wszystkich? — zapytał p. Walery — budzi ze snu ludzi, którzy cały dzień byli na nogach.

— Pan wie że Benito i Juana porąbać by się dali za niego, a i Panfil więcęć dba o Józka niż o nas wszystkich razem — odparła miss Oliwia, która widocznie pragnęła odwrócić uwagę p. Walerego od poruszenia jakie panowało między młodzieżą. — Musi mieć do nich jeden z tych interesów, jakich miewa co najniżej dziesięć na dzień, a oni gotowi całą noc bezsennie przepędzić, byle „królewicykowi“ dogodzić. Już to przyznać pan musi, że ten chłopiec ma dziwne szczęście do ludzi?

Zagadywała miss Oliwia, jak mogła, bo wybornie wiedziała o co Józkiowi chodzi. Za dwa dni wypadały imieniny p. Walerego; on sam o nich zapomniał, ale pamiętały dzieci i porozumiewając się z miss Oliwią i p. Tadeuszem, wciągnawszy do znowy kuzynka — który umiał tak wybornie zastosować się do nich, jakby nigdy nieszy inżynierskich nie kończył — postanowiły dzień ten obchodzić uroczystie.

Do tego potrzebną im wszakże była pomoc pocziwych sług Indyan, bo do niespodzianek jakie obmyślili dla ojca, należał także wspaniały obiad, ten zaś nie mógł mieć miejsca bez pomocy Benita i Juany, zawiadowców magazynu żywności, oraz Panfila, naczelnego kuchmistrza. P. Tadeusz mawiał o nim, że z gwoździa zrobiłby soczystą pieczeń, a z suchego patyka pożywny rósół i w rzeczy samej Panfil nie tylko wybornie gotował, ale jeszcze niewyczerpany był w pomysłach coraz to nowych potraw i umiał korzystać ze wszystkiego, czego dostarczały rzeki lub lasy miejscowe.

I teraz też on ułożył dyspozycję całego obiadu. Benito podjął się wskazać młodym panom, gdzie czego szukać mają i sam im poszukiwanie ułatwić; Juana przyrzekła zająć się pieczeniem ciast, miss Oliwia obiecała zrobić wyborną galaretkę z winą z suchymi konfiturami — do Luci zaś należeć miało przystrojenie stołu, oraz ułożenie pięknego bukietu.

P. Walery wstał tego dnia bardzo wcześnie i nie czekając na śniadanie, zszedł „z pałaców sterczących dumnie“ — jak nazywał p. Tadeusz piramidę — na dół, do chat służących mulnikom za mieszkanie, bo znać mu dano, że jeden z mulów okulał. Skorzystano więc z nieobecności głównego solenizanta i od samego rana wzięli się wszyscy z zapalem do spełniania przyjętych na siebie czynności.

Mężczyźni, do których naturalnie zaliczał się i Józio, poszli pod wodzą Benita w las na poszukiwanie zwierzyny. Zamiast iść głównymi schodami, udali się dla skrócenia sobie drogi galeryą, przez świątynię i wydostawszy się z niej przez dość znaczny wyłom w ścianie zewnętrznej, spuścić się mieli z piramidy na dół ledwo widzialną ścieżyną, widocznie od czasu do czasu uczęszczaną, jak o tem świadczyły mniej bujne w tem miejscu trawy i pooblamywane gałęzie krzewów.

Lucia ciekawa widzieć, jak im się uda przedostać skróconą drogą, otrzymała od miss Oliwii pozwolenie towarzyszenia myśliwym do świątyni i właśnie w samym wyłomie stojąc,

żegnała się z Józiem, gdy jęć się wydało że w zaroślach tuż obok poruszyło się coś ostrożnie i zakolysały się falisto trawy. Nie zwracając jednak na to uwagi, mówiła Lucia do Benita tym językiem będącym mieszaniną narzecz miejscowego z mową hiszpańską, którym zwykle posługują się Europejczycy w rozmowie z krajowcami:

— Pamiętaliśmy o wszystkim, Benito, a zapomnieli o owocach. Jakie owoce podamy jutro po obiedzie?

— Żadnych, Złoty-Motyłu. Skąd tu wziąć owoców? W puszczy nie wiadomo gdzie szukać, wypadkiem chyba trafić można na owocowe drzewo.

— Albo na osadę Indyanina—dowiedziała Lucia. Ci hodują w pobliżu chat jakieś jarzyny i owoce.

— Każesz, Złoty-Motyłu, a znajdzie ci ich Benito — odparł Indyanin skwapliwie.

— Nie, nie, mój drogi Benito, czyż mogę wymagać abyś mi szukał osady w puszczy? Nie, żartowałam tylko... Ach, żeby tu byli moi pocciwi Lakondonowie!

-- I żartując, rzuciła Lucia w głąb boru znany nam okrzyk: „chachalaka“! Jakież jednak było jęć zdziwienie, gdy kędyś w pobliżu, jakby u stóp jęć prawie, odpowiedziano jęć takim samym okrzykiem, a w puszczy rozpoczynającej się tuż u podnóża piramidy, raz, drugi, trzeci i dziesiąty, rozległo się na wszystkie tony: „chachalaka! chachalaka!“

Trochę strwożona, trochę uradowana pobiegła dziewczynka do miss Oliwii, odprowadzona przez p. Tadeusza, który obawiał się teraz puścić ją samą przez pustą świątynię i pustą także galerię. Rozstał się z nią dopiero o kilka kroków od miejsca, w którym Panfil założył swoje państwo i przeprowadziwszy ją jeszcze wzrokiem, powrócił do towarzyszy.

— Miss Oliwio! miss Oliwio! — wołała Lucia zdyszana, wbiegając do spiżarni, urządzonej pomiędzy na prędce wznieścionymi zagrodami — Lakondonowie są tutaj.

— Gdzie? skąd wiesz? — żywiej niż zwykle spytała miss Oliwia, bo z właściwym Anglikom uprzedzeniem do ras obcych, nie wdychała bynajmniej do towarzystwa sprzymierzeńców Luci.

— Czy widziałas kogo z pomiędzy nich? — dodała.

— Nie, nie widziałam nikogo; słyszałam tylko ich okrzyk:

I opowiedziała Lucia całe zdarzenie, czując wybornie, że nie minie ją bura za lekkomyślny żart, jak nazwała miss Oliwia jęć postępek.

— Złoty-Motył nie zrobił nic złego — stanęła Juana w jęć obronie — Lakondonowie umieją dochować przymierza.

Nie bardzo była tego pewną miss Oliwia, ale nic już nie mówiąc, zajęła się przyrządzeniem zapowiedzianej leguminy. Podług wczoraj ułożonego programu, Lucia miała się postarać o kwiaty na bukiet i zieleni do przybrania stołu, ale miss Oliwia bała się puścić ją od siebie i nawet nie pozwoliła jęć wyjść samą na niższe kondygnacye tarasu. Siedziała więc Lucia markotna trochę i skwaszona, szatkując na cieniutkie paseczki smażone owoce do leguminy, aż wreszcie ulitowała się nad swoją pieszczotką Juana.

— Miss Oliwio — zagadnęła — ja pójdę z *nią* moją? Zarobiłam wprawdzie ciasto, ale nim się podniesie, wrócimy z kwiatami i z liśmi.

Miss Oliwia udzieliła żądanego pozwolenia, boć trudno było odmówić go wiernej piastunce i po godzinie niespełn wróciła Lucia z ogromną więzią zieleni, do zerwania której dopomógł Panfil. Ten bowiem wiedząc, po co wybiera się „Złoty Motyl“ z Juana, zapowiedział, że i on musi pójść koniecznie dla ścinania potrzebnych Luci gałęzi.

— A obiad? — spytała miss Oliwia, która nie wiedziała czy cieszyć się ma czy gniewać na ten rodzaj bałwochwaltwa, jakim otaczano Lucię. — Zaczął go Panfil gotować!

— To nic nie szkodzi — tłumaczył Indyanin — obiad wprawdzie nastawiony, ale zanim będzie co przy nim do roboty wrócimy, a tymczasem wyreczy mnie Nuno.

I zwierzywszy rządy nad rondlami jednemu ze służących którego mu dodano za pomocnika do noszenia wody i drzewa, pociągnął Panfil za „Złotym-Motyłem.“

Wrócili wszyscy prędko — jak się już wyżej powiedziało — i Lucia wzięła się natychmiast do splatania długich wieńców z liści, których kształty i odcienie umiała tak dobrać, że tworzyły całość pełną smaku.

(d. c. n.)

SZARADA.

Po jakiej literze, i jakie przegrane,
Jak różne, tak też różnie są oceniane?
Jedni je lubią bardzo, za nic mają drudzy.
Twórcami ich — Apollina słudzy.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

ułożył Jaśko Warszawiak dla Motylka.

Z następujących sylab: *La — mos — bro — i — rek — dor — sa — be — te — lis — ger — a — bel — pat — a — kan — o — ni — za —* — ułożyć wyrazy: 1. Zwierzę z rzędu drapieżnych. 2. Rzeka w Hiszpanii. 3. Taniec ludowy. 4. Rzeka w Afryce. 5. Imię królowej Hiszpanii. 6. Miasto w gub. Inflanckiej. 7. Port handlowy w Hiszpanii. 8. Wyspa z Archipelagu greckiego. Początkowe litery tych wyrazów czytane z góry na dół utworzą nazwisko wodza spartańskiego, a końcowe w tymże kierunku nazwisko mędrca greckiego.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 19-go.

Szarady: *Ia — z — kry.* Jaskry.

Łamigłówni sylabowej:

1. Lelów. 2. Ukwiął. 3. Diana. 4. Waterford. 5. Irawad. 6. Krezus. 7. Kardynał. 8. Ośmiornica. 9. Narew. 10. Demostenes. 11. Rubiny. 12. Abukir. 13. Trzemeszno. 14. Osiek. 15. Waterloo. 16. Ihim. 17. Cyrkiel. 18. Zaira.

Ludwik Kondratowicz — Władysław Syrokomla.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Zabawka magiczna (z drzew.) — Królowa szwedzka, p. Teresę Jadwigę. — Maj, wiersz p. Alf. Łaszczy. — Z wyspy Atlanty wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska. — Łatawiec czyli ptak rajski (z drzew.) — Dolina nad Prądnikiem (drzeworyt). — W dziewiczych lasach Ameryki. — Łamigłówni i rozwiązania. **Dodatek:** Dzień dobry, wiersz (z drzew.) — Moje dzieci, opowiadanie jednej mamy, p. A. Do. (dok.) — Dobry pomysł, komedycja w jednej odsłonie. — Łamigłówni i rozwiązania Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Zwalczone uprzedzenie, powieść p. Karoliny Yonge, przekład z angielskiego T. P.

WIECZORY RODZINNE.

MOJE DZIECI.

OPOWIADANIE JEDNEJ MAMY.

p. **A. DO.**

(Dokończenie).

— Tak, tak, moje dzieci — zauważyła mama — jak trwoga, to do Boga, a czemu to co dzień nie modlicie się tak szczerze jak dzisiaj?

— Ach, mam! My zawsze mamy dobre chęci, tylko wieczorem, to człowiek taki śpiący... a dziś ze strachu i spać się nie chce.

— No no, nie macie się czego bać. Uczycie się dobrze, mam nadzieję, że jakoś to będzie. Dobranoc.

— Ach, mam, dobranoc, niech i mamusia zmówi Zdrowaś Marya na naszą intencję!

— Dobrze, śpijcie już i nie myślcie o niczem.

Nazajutrz raniutko pozrywały się dzieci; niepewność zbudziła je wcześniej niż zwykle. Jerzy przed ósmą nie skończywszy śniadania poleciał do gimnazjum; a Staś po dziewiątej powędrował z tatą i nauczycielem do „szkoły wzorowej“, gdzie razem z dwoma innymi prywatystami miał zdawać egzamin.

O godzinie dwunastej bohater nasz był już w domu.

— No, opowiedz Stasieczku, jakże ci poszło? — pytała ciekawie mama.

— Ano, dobrze mamusiu!

— Pokaż-no świadectwo. Wyborne, bardzo się cieszę, moje dziecko, żeś umiał wszystko o co cię pytano; miło rodzicom widzieć, że mają pilne, poczcliwe dzieci, a nie próżniaków i niedbalców.

— Hurra! Wiwat! Egzamin zdałem! Tata darował mi srebrny reński! Czy jest w całym Krakowie kto szczęśliwszy odemnie?

— A żebyś sobie wiedział, że jest! I to twój rodziutki brat! — zawołał Jerzy, który biegnąc ze szkoły pędem strzały, usłyszał wykrzykniki Stasia skaczącego po podwórzu w nadmiarze radości.

— Masz świadectwo?

— Cudo nie świadectwo! Same celujące — tylko jedno chwalebne. Uf! takim się zleciał — tak mi serce bije — chciałem jak najprędzej mamie pokazać... a jest mama w domu?

— Jest, na górze, w swym pokoju. Idź, idź prędko.

* * *

O trzeciej godzinie po południu goście zaczęli się schodzić. Pierwsi przyszli Henryś i Józia, potem Staś z Wańdzią, potem Adaś i Leszek, Ańdżia W. a nareszcie dzieci ciotki Reni, choć nie prośzone, bo za małe, przyparadowały także — bo wieść stugębna o czekoladzie i lodach doszła do ich uszu i nie dała spokojnie w domu usiedzieć. Zabawa rozpoczęła się tańcem indyjskim wymyślonym przez Jerzego, a który polegał na tem, że każ-



DZIEŃDOBRY.

Dzieńdobry wam już, dzieci!
Złote słońeczko świeci,
Oddawna ptaszki wstały,
Obudził się świat cały:

Stokrocie już wesoło
Podnoszą w górę czoło,
Narcyzy dysząc wonią
Błede twarzyczki kłonią,

Jabłonie całe w bieli.
Twóć się każdy weseli,
Buja każde żdźbło trawy.
Bóg na wszystko łaskawy —

Więc i małej dziecinie
Dobrze dzionek upłynie.
Tymczasem wstawać trzeba,
Westchnąć szczerze do Nieba,

A potem jak wypadnie,
Uczyć się, bawić ładnie,
Czas do wieczora zleci...
Teraz dzieńdobry, dzieci!

T. P.

de z dzieci musiało wyskakiwać jak mogło najwyżej, rzucać rękami na wszystkie strony i śpiewać przy tem co mu na myśl przyjdzie. Można sobie wyobrazić, co za straszna kocia muzyka powstała skutkiem tych śpiewów! Wańdzia, Józia i Helenka zaintonowały: „wlaź kotek na płótek,” Henryś ze Stasiem na wyścigi kto fałszywiej „Jeszcze i t. d.,” Jerzy „pije Kuba do Jakuba“, a najmłodsze dzieci pod komendą Tadzia piszczały: bum bum, dzień dzień dzień, dzi rata roni ta drata—udając wojskową muzykę. Mama uciekła do trzeciego pokoju, wszystkie drzwi za sobą zamykając. Dzięki Bogu jednak, po kilku minutach zmęczenie przemogło zapał i pomyślano o inną zabawie. Dla wypoczynku żywe obrazy. Podzielono się na dwie grupy: publiczność i aktorów. Pierwszy obraz udał się wyśmienicie: Józia odziana w białe prześcieradło, stała na sofie; Helenka i Wańdzia trzymały ją obydwoma rękami za suknię, nagle Józia z dzikim piskiem skoczyła na podłogę, i wyciągnięta jak struna leżała tak parę sekund. Była to Wanda wskakująca do Wisły. Potem przedstawiono ucztę Baltazara: dzieci obsiadły stół dokoła, udając że jedzą i piją, a Jerzy schowany za piecem wystawił straszną łapę umalowaną na czerwono i trzymając zręcznie małą gąbkę zmoczoną w tejże czerwonej farbie, pisał na kaflach: Mane—Tekel—Phares.—Niestety, publiczność nie mogła treści obrazu odgadnąć, a dziewczynki podniosły wrzask okropny na widok czerwonej ręki. Ach, potem był śliczny sąd Salomona! Staś odziany w maminą rotundę i papierową koronę, siedział na fotelu przykrytym niebieską atlasową kołdrą, którą mama ze względu na uroczystość, wspaniałomyślnie pożyczyła; Józia trzymała Leszka za jedną nogę, Henryś z ogromną linią w ręku za drugą i miał go właśnie na dwie połowy przecinać... Ańdzia zaś, jako prawdziwa matka, klęczała przed tronem z załamanymi rękami i rozpuszczonymi włosami. Leszek nie zważając na niebezpieczeństwo i niewygodną pozycję, podtrzymywał się na rękach i surowemu Salomonowi w całej długości języczek pokazywał. Cóż to jeszcze było? Aha! — wygnanie z raju: Henryś i Helenka, pochyleni ku ziemi, zasłaniali sobie twarze rękami szlochając w niebogłosy, a Staś tą samą linią, co w sądzie Salomona rolę miecza odgrywała, uderzał ich po plecach i pędził aż do przedpokoju.

Śliczne były obrazy! Publiczność z niekłamanem uwielbieniem biła brawo, aż rączki czerwieniały.

Po żywych obrazach naturalnie ciuciubabka, potem cenzurowane, farby, cztery kąty, talarek—pysznie się bawiono! O piątą Wiktosia wniosła wagę z czekoladą i półmisek z sucharkami; mama ponalewała do filiżanek, i cała kompania, dwanaście główek licząca, uciszyła się na chwilę, spożywając podwieczorek. Potem znów z pokrzepionymi siłami dalejże w kotka i myszkę, w lisa, w gęsi i wilka; krzyku, hałasu co niemiara! Mama, wierna obietnicy, na zakończenie balu posłała po iody, poczem już spokojniiej rozmową tylko dzieci się zabawiały, bo szara godzina przypominała koniec uciechy.

O godzinie ósmej rozeszli się goście, żegnając nieskończonemi całusami naszą trójkę, która za dwa lub trzy dni wyjeżdżała z mamusią do Topolówki na wakacje.

I wy, kochani czytelnicy i czytelniczki, pojdźcie za

ich przykładem, pożegnajcie się z Jerzym, Stasiem i Helenką; a jeżeliście ich polubili choć trochę, czytając dzieje ich codziennego żywota, powiedzcie mi tylko... a z radością, po powrocie z Topolówki, opowiem wam co robili, jak się bawili na wakacjach. Do widzenia.

DOBRY POMYSŁ.

KOMEDYJKA W JEDNĘJ ODSŁONIE.

(Dokończenie).

SCENA IV.

Ciż SAMI, JANINKA, POTEK KASIA.

JANINKA (*stawiając kałamarz*). Wicie co za nieszczęście? Wojciechowa umarła, niedawno woda jej wszystkie sprzęty zabrała, chciała je ratować, zaziębiła się i już nie żyje!

LILLA. Mój Boże! I cóż się z Józią stało?

JANINKA. Biedna Józia, przyprowadzili ją tutaj do kuchni, płacze biedaczka za matką.

HELCIA. Biedna dziecina! gdzie ona się teraz podzieje?

WIESIO. Przecież ma pewno ojca?

STAŚ. O nie, ojciec umarł rok temu (*wchodzi Kasia z serwetą w ręku*).

LILLA. Kasiu, powiedz nam, co się stanie z biedną Józią?

KASIA. Ach! moje panienki, biedne dziecię nie ma się nawet w co przyodziać, wszystko woda zabrała, a matka nie żyje. Weźmie ją pewno chrzestna jej Jakóbową, ale ona nie wie jak ją wyżywi, bo ma sama sześcioro drobiazgu.

HELCIA. Ach, jak mi żal Józi!

JANINKA. Żeby to można jej w czym dopomódz!

LILLA. Chciejcie mię posłuchać, moi drodzy. Otóż przyszło mi na myśl, że zamiast wyprawić sobie ucztę, kupując różne łakocie, lepiej byłoby za te pieniądze oporządzić biedną Józię. Czy przystaniecie na to?

HELCIA. Ależ rozumie się, wyśmienity projekt, siadaj Lillo i spisuj, co kupimy zamiast tych wszystkich łakoci.

JANINKA. Lillo, ja dołożę mego rubla, co miałam na wózek i kołyskę dla lalki, ona obejdzie się bez tego.

LILLA. Dobrze, Janko, idź więc przynieś zarazem moje pieniądze, zebrane na różowe pantofelki, obejdę się bez nich. (*Janinka wychodzi.*)

HELENKA. Ach jaka szkoda, że nie mam przy sobie swoich pieniędzy, za które miałam kupić pierścione; taką mam ochotę oddać je także Józi!

KASIA (*wzruszona*). O! pocziwe panienki, dobre mają serduszka!

STAŚ. Wiedzie o tem moje panie, że i my mężczyźni odczuwamy nieszczęście bliźniego, ja nie chcę już nowej wędki, ani czapraka; większą będę miał przyjemność,

oddając te pieniądze małej Józii, pójde zaraz do ojca prosić, żeby mi dał sumę przeznaczoną na czaprak.

WIESIO. Nie sądzicie czasem, że ja chcę się wyłączyć od dobrego czynu, właśnie myślałem o tem, jakim sposobem mógłbym poprosić ojca, żeby mi oddał pieniądze na czółno i zarazem wziąć mego rubla, za który miałem kupić siatkę na motyle i wędkę. Osądźcie, moi drodzy, czy nie dobrze byłoby napisać list do ojca i posłać przez jakiego chłopaka? Wszak to tak bliźutko; w nie całe pół godziny mielibyśmy pieniądze.

HELENKA. Ach! jakby to dobrze było; napisałabym także o moje pieniądze; ale czy kto iść zechce!

KASIA. O! panienczko, jest tu Antek, on o każdej godzinie gotów na usługi.

STAŚ (podając papier Wiesiowi). Siadaj więc i pisz, ja idę do ojca po pieniądze. (Wychodzi; Wiesio siada, pisze, poczem podaje papier Helci).

WIESIO. Teraz ty pisz o swoje. (Helcia pisze, wchodzi Janinka i kładzie na stole dwie portmonetki).

JANINKA. Otóż są, Lillo, twoje i moje pieniądze.

HELCIA (kończy pisanie i składa papier). Moja Kasiu, bądź tak dobrą, poślij Antka z tą kartką do rodziców moich.

KASIA (biorąc papier). Dobrze, moja panienko (wychodzi).

LILLA. Kasiu! Kasiu! przyprowadź nam tu Józję.

SCENA V.

Ciż SAMI, STAŚ, POTE M KASIA I JÓZIA.

STAŚ (wchodząc). Mam już swoją sumę (kładzie na stół pieniądze).

JANINKA. Ja najmniej dałam, bo nie mam więcej, ale gdy będzie kupiony materyał na ubranie dla Józii, to się zajmę szyciem; ty mi Lillo dopomożesz, wszak prawda?

LILLA. Z największą chęcią, zdaje mi się, że i ty, Helciu, zaofiarujesz swoją pracę.

HELCIA. Jak możesz wątpić o tem, droga moja Lillo!

STAŚ. Pierwszy raz w życiu żałuję, że nie jestem kobietą, bo i ja z przyjemnością pokłółbym sobie trochę palce igłą w tak dobrym celu.

WIESIO. Doprawdy, Stasiu, zgadłeś myśl moją, gdyż ja chciałem to samo powiedzieć.

LILLA (śmiejąc się). Trudno, moi chłopcy, musicie się pogodzić z losem waszym.

JANINKA. Wiecie, że to bardzo przyjemnie rozpoczynać wiosnę od dobrego uczynku, więc jestem z tego zadowolona, niż gdybym miała najpyszniejszy wózek, kołyskę dla lalki i najlepsze łakocie. (Wchodzi Kasia prowadząc małą dziewczynkę).

LILLA (biegnie i bierze Józję w objęcia). Chodź, moja biedna dziecino, nie płacz, już będziesz miała nową sukienkę, trzewiczki, wszystko.

HELCIA. O tak, będziemy zawsze o tobie pamiętać!

JÓZIA (z płaczem). Gdzie mama, mama!

KASIA. Mama twoja tam, w Niebie, błogosławi dobre panienki i paniczków, którzy wyrzekli się zabawy dla jej dzieci. Ach, żeby to każdy dzień wiosny rozpoczynał się od dobrych uczynków!

Niezapominajka.

SZARADA.

ułożył Stefan K.

Pierwsze litera, a drugie zwierzę.

Wszystko jest dobre, gdy zupełnie świeże.

ŁAMIGŁÓWKA KWADRATOWA.

Ułożył Amerykanin.

A	W	a	r	s	a	w	a
B	i	a	b	o	y	a	
C	k	o	s	z	e	r	n
D	k	a	n	e	c	z	e
E	k	a	n	e	c	z	e
F	s	a	b	o	y	a	
G	k	a	n	e	c	z	e
H	b	a	t	a	l	a	

W każdym z ośmiu rzędów oznaczonych literami A, B, C, D, E, F, G, H, wypisać wyraz ośmiogłoskowy, w których litery oznaczone liczbami od 1 do 8 ułożyć mają imię wielkiego wojownika. Sylaby: Lio—Ga—ce—Ba—sza—on—le—Re—Ka—a—Nie—wa—elerz—Ka—nik—per—bri—la—ta—la—brya—wiec—Ko—me—Kan—e—jo—bry.

Znaczenie wyrazów. 1. Miasto w gub. warsz. 2. Dawna nazwa kraju w pół. Włoszech. 3. Sławny astronom. 4. Miasto w gub. lubel. 5. Dostojnik państwa. 6. Imię żeńskie. 7. Gad. 8. Oddział wojska.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 19-go.

Szaryady: A — mata.

Łamigłównki kropkowanej:

Darowanemu koniowi nie zaglądają w zęby,
Zgoda buduje, niezgoda niszczy.

Skrzynka do listów.

Z przyjemnością dowiadujemy się, że w osobie Brunetki przybywa nam uczestniczka konkursów. Kwiatek polny obrał śliczny pseudonym.

Świtezianka z nad Męciny dała dowód wielkiego rozsądku, przyjmując nasze słowa tak, jak je przyjęła, bez urazy miłości własnej. Zawsze to powtarzamy, że zdolność do rymowania nie jest jeszcze talentem poetycznym, a talent nawet musi być wsparty pracą, do której czasu przedewszystkiem potrzeba. Za początek powieści nic się nie należy.

Wesołój Leśmierzance dziękujemy za miłe słowa, które mi się do nas odzywa. Liścik nie przypadnie, ale czekać musi swojej kolei.

Anielcię i Stefcie Cal. ze **Zgorzelic** pozdrawiamy serdecznie. Dla czego nie mamy od nich ani słówka? Redakcja z przyjemnością odpowiada zawsze na liściki, a **Gołąbka** twierdzi, że żyć by bez nich nie mogła.

Skoro „**Władziowi**“ kazała autorka znaleźć „książeczkę“, to należy przypuszczać, iż mu coś w niej pisać każe. Pisanie pamiętnika, **Niezapominajko z nad Warty**, należało do dawniej metody pedagogicznej: ma ona swoje dobre i złe strony, naszym zdaniem jednak dobre przeważają. W „monotonnem“ nawet życiu myśleć można i myśli w poprawnej wypowiedzieć formie.

Nie wszystko, o czém wspomina **Stefan K.** doszło do nas, a tego co doszło, użytkować nie możemy. Przypominamy, że liściki do współczelników powinny być pisane na osobnych kartkach.

Złota Pszczółko, odpowiedź nie była „zimną“ tylko krótką, bo takimi z konieczności bywać muszą nasze odpowiedzi. Dla załagodzenia wszakże sprawy, posyłamy ci uścisk serdeczny.

Szarotek i Jaskólek mamy już mnóstwo, ale ponieważ w samej rzeczy są powabniejsze od kur istoty, możeby więc **Kureczka z nad Ikwy** przezwala się **Ptaszyną z nad Newy**? Żądane numera posłano.

Lirenko droga, musisz się już pogodzić z tem, że nazwisko **Gołąbki** „na zawsze tajemnicą“ pozostanie.

Gałązko wrzосу, i „sędziwe osoby“ lubią czasem być „wyściskane przez serdeczną jak ty, osobkę. Na resztę odpowie **Gołąbka**.

Centko maleńka, postaramy się, aby zadość uczynić twemu życzeniu.

Szczerze dziękujemy **Astrologowi** za usłuchanie naszej rady, a na błędy przez nieuwagę popełnione jesteśmy bardzo wyrozumiali, jakkolwiek z zasady strzeżemy czystości języka. Łamigłówkę przejrzymy w swoim czasie.

Puszczyk leśny nadesłał nam także łamigłównię, z których drugą składają poprostu wyrazy porozdzielane na zgłoski.

Logogryf **Władysława W.** mało jest odpowiedni dla naszych czytelników, którzy z konieczności więcej są zajęci nauką niż uczęszczaniem do teatru; **Gwoździak** znowu i **Cyklista** zestawiają wyrazy nie mające najmniejszego z sobą związku; cóż bowiem łączyć może **Kraszewskiego** z... **Bramaputrą**, lub „**Achillesa**“ z „**Norwegią**“? Inne zadania i łamigłównię dwóch przyjaciół przejrzymy, również jak: łamigłównię **Wandy W.**, **Cegielki** i **Złotéj Kuli**.

Dobre rozwiązania nadesłały: **Cegielka**, **Złota Kula**, **Jadzia**, tudzież **Gwoździak**, **Cyklista** i **Jaśko Warszawiak**; łamigłównia, o którą nas **Jaśko** pyta, nie nadaje się do druku.

Żałujemy bardzo, że **Szarotka tatrzańska** tak późno nadesłała objaśnienie. Powiastka była w samej rzeczy dobrze napisanym ćwiczeniem, i to jest właśnie pożyteczną stroną ogłaszanych przez nas konkursów.

Pokrzywo wołyńska, lubimy w tobie tę energię, z jaką kucykami powozisz i do bab pieczenia się zabierasz. Życzymy ci powodzenia w tem zajęciu, które nie tyle energii ile systematyczności i doświadczenia potrzebuje.

Stalęj prenumeratorce, **Horpynie**, oraz tój, która bezimiennie złożyła koszulki dla biednych dzieci, serdecznie składamy podziękowanie. Dary ich przydały się bardzo, gdyż wiele dzieci nie może wyjść na powietrze dla braku ubrania.

Kochany **Kotku Podolski**! Nigdy nie pisywaliśmy do siebie, chociaż znamy się bardzo dobrze. Odgadnij, kto jestem i odpisz **Wróblowi z nad Wolku**.

Kochany **Ziemku S.**! Czy czytujesz **Wieczory**, bo ja je czytam z przyjemnością. Co ci się najwięcej podoba w tegorocznych? A teraz zgadnij, kto się ukrywa pod pseudonymem **Latawca**.

Kochany **Papierosiku** i **Odważny Łobuzie**! **Papierosiku**, szkoda, że mieszkasz tak daleko. Ja mieszkam pod **Łęczycą**, nad **Bzurą**. Do szkół prędko nie pójde, bo rodzice chcą mnie mieć dłużej w domu. Całuję cię i proszę, donieś mi dlaczego się nazwałeś **Papierosem**, bo jestem tego bardzo ciekawy. **Odważny Łobuzie**!

Obawiam się, czy będziesz chciał do mnie pisywać, gdy się dowiesz, że jestem młodszy od ciebie o 2 lata. Ale jestem za to bardzo duży i gruby, biegam znakomicie. Kuce moje zdrowe, kazały ci się kłaniać. Bardzo jesteś poczyty chłopcem, że pierwszy do mnie napisałeś. Daj buzi, kochany **Łobuzie**. *Benjaminek*.

Drogi **Słoneczniku polny**! Odpowiedź na twoje zapytania znajdziesz w liście do **Wołodjowskiego** w Nr. 44 r. z. I mnie się najlepiej podoba to samo, co tobie. Dziękuję ci za szaradę, a w zamian posyłam ci zadanie konikowe. Zagłobie dziękuję za pozdrowienie i jak najchętniej będę z nim korespondował. *Kmicic*.

P. S. **Wołodjowskiego** proszę o odpowiedź na list w N. 44. *Wiecz. r. z.*

Kochana **Gołąbko**! Oddawna chciałam już napisać do ciebie, lecz mam tyle lekcji, że brak na to mi czasu. „**Wieczory Rodzinne**“ podobają mi się bardzo, a w nich liściki nasze. Za pseudonym obrałam sobie „**Gołąbka z nad Wisły**.“ Jestem jedynaczką, mam lat 12, nazywam się **Helenka B.**, uczę się z trzema innymi dziewczynkami. Spodziewam się, że odpiszesz mi niezadługo. Pisz także do **Gałązki wrzосу** i do **Kujawianki**. Ściskam cię, *Gołąbka z nad Wisły*.

Spełniając twą prośbę, kochana **Macierzanko**, zwróconą do czytelniczek, odzywam się do ciebie, donosząc że jestem w twoim wieku, mieszkam na wsi na Ukrainie, uczę się w domu, lubię historię i botanikę. A ty gdzie mieszkasz? Ułożyłam dla ciebie łamigłównię, a teraz proszę cię odpisz *Kampanelli* Nr. 2.

Kochany **Opoczniaku z nad Czarnéj**. Dziękuję ci bardzo za łamigłównię! Donieś mi czy ci na imię **Stanisław**? Ile masz lat i gdzie się uczysz? Ja nazywam się **Juliusz**, mam lat 10 i uczę się w realnej szkole w Warszawie. Przysyłam ci także łamigłównię geograficzną; i nie wiem jeszcze, czy jest dobrze ułożoną. Niecierpliwie czekający twojej odpowiedzi *Bystry Koń*.

Kochany **Bystry Koniu**! Piszę do ciebie pierwszy, ponieważ podobał mi się twój pseudonym. Czyś należał do konkursu, bo ja nie miałem odwagi! Donieś mi wszystko o sobie. Twój *Jeleni wrzący*.

Kochana **Gałązko wrzосу** i **Kujawianko**! Znamy się dobrze, imiona wasze są **Zosia** i **Anielcia**, nazwisko zaczyna się na **F.** Zgadnijcie kto jestem? *Gołąbka z nad Wisły*.

Nareszcie zdobyłem się na pisanie do ciebie, kochany **Siłaczku**. Znasz mnie, na imię mi **Józef**, mam lat 10. Uczymy się razem i jesteś moim dobrym kolegą. Napisz także do mnie przez nasze kochane **Wieczory**. *Rycerz*.

Kochana **Macierzanko**! Pomimo że od czterech lat czytuję **Wieczory**, do nikogo jeszcze nie pisałam. Przeczytawszy wszakże twoje uzalenie, że ci dotąd nikt nie odpisał, postanowiłam do ciebie napisać po raz pierwszy. Donieś mi jak ci na imię i jak wyglądasz? Mnie na imię **Marya**, mam lat 11, uczę się w domu, mieszkam niedaleko **Krakowa**. Ściskam cię oczekując odpowiedzi. Twoja *Grymasna Marysia*.

Drogi moje, **Czarna Perełko**, **Polna Rózo** i **Konwalijsko Leśna**. Znamy się doskonale. **Perełko**, czy otrzymałaś już **Wieczory**? **Polna Rózo**, jak ci się podoba „**Księżniczka z Tower Hillu**“? Donieś mi, proszę, co porabiasz. **Konwalijsko leśna**, zdaje mi się, że jesteś **Natalią M.**... czy tak? A teraz zgadnij, kto się ukrywa pod pseudonymem *Lilii wodnej*.

Drogi **Barwinku**! Dziękuję ci za pamięć i donoszę, że jesteśmy zdrowi. **Srebrna Roso**, mam dwunasty rok, chodzę na pensję w Warszawie, na imię mi **Stefania**. Wiedenko z **Żywopłotu**, cieszyłaś się pewno na święta. Całuję was, *Mgła wieczorna*.

Kochana **V. Cairo**! Dowiedziałam się, że należysz do starszek, więc nie wiem czy do ciebie pisać mogę, nie należąc do nich. Lubię nadzwyczaj wieś, szczególnie w lecie. Czytać też lubię bardzo w chwilach wolnych od nauk i zajęć domowych; książki są u mnie najlepszymi przyjaciółkami. Przesyła ci trylion całusów *Igielka sosnowa*.